ECHO Z AFRYKI.

Styczeń 1902. Rok X. Nr 1.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi **1** korona **20** halerzy; dla Niemiec **1** mk. **20** fen.; dla krajów związku pocztowego **2** fr. **50** cent.; dla Rosyi **1** rsb.

Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna Nr 3.

W pierwszym dniu i co pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawiać się będzie za żyjących i umarłych prenumeratorów „Echa“ przez Najprzewieleb. X. Biskupa misyjnego w Afryce i przez jednego X. Misyonarza tamże, Msza święta czytana.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISYJ.

Święty Józef z Ndala, dnia 8 wrześnla 1900 r.

Czcigodna Pani Dyrektorko!

Nie mogę pominąć sposobności, by nie przesłać słów kilku odnoszących się do wspaniałego dzieła Pani hrabiny. W życiu misyonarza krzyże, smutki, dolegliwości moralne i fizyczne są nieodstępne; dlatego też to życie ciągłego poświęcenia dla sprawy Boskiej, ma tak wiele powabu dla powołanego do szerzenia Ewangelii św. w dalekich krajach equatoryalnych. Bo czyż Bóg nie obiecał nagrodzić sowicie żołnierzy swej przedniej straży? Ochotnie też poddajemy się wszelkim niedostatkom ciała i duszy, i dziękujemy Panu za każdą pociechę, otrzymaną po długich latach naszej apostolskiej pracy, uradowani, gdy Bóg pozwoli nam złowić duszę garnącą się do nieba. Przykładem takiego miłosierdzia jest nawrócenie i przyjęcie Chrztu św. Maryi Teresy Uholo murzynki, przeszło 100 lat liczacej, z okolicy Unyamwesi w Ndala.

Od pięciu lat jestem w Ndala, przebiegłem kraj ten cały. Wszyscy tu, znają Bwona malole i ja znam wszystkich, jestem jakoby ojcem mieszkańców tego kraju. Nikt mi jednak dotąd nie wspomniał, że we wsi oddalonej o 3 kilometry od misyi, znajduje się mały domek, w którym mieszka tajemnicza staruszka Uholo, pielęgnowana przez młodą kobietę. Mniemają bowiem tubylcy, że tak czarni, jak Europejczycy widzieć jej nie mogą, bez narażenia kraju na wielkie nieszczęścia. Teraz dopiero w podróży przedsięwziętej w celu odszukania chorych na ospę (w czasie której ochrzciłem 49 osób *in articulo mortis*), opowiadałem z pewną chlubą towarzyszącym mi chrześcijanom, że u nas zdarza się widzieć ludzi żyjących lat 90 lub 100. Wtedy wszyscy zwrócili na mnie swe oczy, a jeden z nich rzekł:

— Ojcze! i tu się znajduje kobieta licząca przeszło lat 100.

— Czy być może? Czy nie kłamiesz?

— Nie, ona znała i pamięta wielu królów tego kraju.

— Ja chcę z nią mówić.

— Dobrze — rzekli wszyscy. — Ona tu jest we wsi Katenuhe, ale trudno ją widzieć, tobie jednak Ojcze, mającemu tu wielkie wpływy, może się uda z nią mówić.

— Chodźmy więc — rzekłem do mojej gromadki.

Biegliśmy spiesznie, podwoiliśmy kroki nasze. Zbliżając się do wsi, przestraszyliśmy kury uciekające jakby przed dzikiemi kotami. One to krzykiem swoim oznajmiły mieszkańcom przybycie do wsi, białych podróżnych. Wszyscy mnie tu otoczyli jako swego przyjaciela, szczerze ich kochającego. Dzieci szczególnie radowały się, wołając: „Angaluca Bwana malole! Bon jour Père ana lunettes!“ Kobiety śpiewały pieśni powitalne: „Radujmy się, przyszedł Bwana malola! Radujmy się przybyciem wielkiego i szlachetnego przyjaciela naszego!“ Mężczyźni poważniejsi klaskali rękoma, witając mnie. Ja też powiedziałem im, że przychodzę ich odwiedzić, pozdrowić i nacieszyć się z niemi.

— Zaprawdę — odpowiedzieli — jesteśmy bardzo uradowani, kochamy cię, Bwona malole, bo jesteś naszym przyjacielem, mówisz językiem kinyamwesi, jak każdy z nas, kochasz nas, jak my ciebie kochamy.

— Pamiętajcie, że jesteście dziećmi memi, a ja ojcem waszym, dom mój jest domem waszym, a teraz posłuchajcie mnie: Dowiedziałem się, że tu we wsi waszej jest staruszka, mająca lat 100 przeszło.

— Tak — odpowiedział mi naczelnik miejscowy.

— Ja chciałbym ją widzieć i pomówić z nią o zmarłych królach w Ndala. Proszę, wynieście ją tu, abym mógł widzieć ją lepiej.

Naczelnik udał się natychmiast po staruszkę. Byliśmy świadkami sceny, której nigdy nie zapomnę. Gdy poszli po tajemniczą kobietę, wzywałem gorąco pomocy Najśw. Maryi Panny i Św. Józefa, bym mógł stać się narzędziem miłosierdzia Boskiego, otwierając niebo przez Chrzest św. tej biednej murzynce, wyczekującej wiek cały Anioła Oswobodziciela. Na widok tego szkieletu ludzkiego byłem do łez wzruszony. Gdy ją ułożono na ziemi, zbliżyłem się do niej, była ciemną i głuchą, porozumienie z początku nie było łatwe. Wyobraźcie sobie wieś murzyńską, jej mieszkańców

i mnie klęczącego przed stuletnią staruszką. Głosem podniesionym krzyczałem wprost do jej ucha co następuje:

— Dzień dobry, moja siostro! Jestem Bwona malole!

— Dzień dobry Bracie! To ty przychodzisz do mnie starej kobiety?

— Prawda, że nie jesteś tak młodą, by przywdziać suknie jasne, przechadzać się lub tańcować.

— Nie, Bwona malole, jestem starą, choroba mnie złamała!

— Wiedz moja matko, że ja cię bardzo kocham.

— Tak, powiedzieli mi to dawno, że kochasz plemię Wanyamwezis, ty jesteś królem Ndala, my zaś twemi niewolnikami.

— Dowiedziałem się, że jesteś chora, przyszedłem odwiedzić cię i pomówić z tobą.

— Oto czyn prawdziwie godny ciebie — i okryła ręce moje pocałunkami, wołając: Bwana malole! Teraz cię widzę, znam cię i jestem szczęśliwa.

— Kochana matko, jesteś nędznie okryta.

— Prawda, że mam same szmaty i jest mi zimno.

— Jutro przyniosę ci inne.

— O tak, przynieś coś dobrego i prędko.

— A teraz za to wszystko musisz podziękować Bogu.

— O tak, ja tego chcę.

— Więc wierzysz w Boga Ojca?

— Wierzę.

— W Boga Syna?

— Wierzę.

— I w Boga Ducha Świętego?

— Więc jest jeszcze trzeci?

— Nie, jest jeden Bóg we trzech osobach.

Wtedy kazałem jej wzbudzić wiadome trzy akty i przysposobiłem ją do Chrztu św., którego bardzo pragnęła. Gdy polewałem wodą święconą prawą stronę jej czoła, zażądała, bym to uczynił po lewej stronie. Odpowiedziałem jej, że to uczynię innym razem, gdyż nie można nadużywać rzeczy dobrych.

Nakoniec tego opowiadania dodam, że w cztery godziny po Chrzcie świętym Marya Teresa zasnęła snem wiecznym, a to działanie Boskie utwierdziło nas w nieskończonem miłosierdziu Zbawiciela!

Kończę to pismo moje, polecając bardzo misyę w Ndala i siebie modlitwom całego Zgromadzenia i łączę dla Czcigodnej Pani wyrazy religijnego szacunku.

Oddany sługa w Chrystusie

Fr. Müller,

przełożony misyi Św. Józefa w Ndala.

KONGREGACYA ZAKONNIC OPATRZNOŚCI BOSKIEJ.

Fundacya misyi opartej jedynie na środkach Opatrzności.

Betafo, dnia 18 lutego 1901 r.

Bardzo zajmujące wiadomości o Stowarzyszeniu Św. Piotra Klawera i działaniu misyj afrykańskich doszły rąk moich w chwili ostatecznej nędzy. Pismo to ośmiela mnie odwołać się do szlachetnych uczuć Pani hrabiny i w Imię Tego, za pośrednictwem którego jako Patrona misyj, otrzymałam już wiele łask i obecnie zostałam przeznaczoną do pracy nad zbawieniem dusz czarnych na wyspie Madagaskarze, upraszam o wsparcie nowej fundacyi, kolonii religijnej, na czele której wola Boża mnie postawiła, a którą rozpoczęłam bez żadnych środków, ufając jedynie w pomoc Opatrzności. Przybyło nas tu kilka, i prócz nas, są tu jeszcze inne Zakonnice i Zakonnicy, którzy tu oddawna niezmordowanie pracują i są utrzymani przez misye katolickie. Z nami rzecz się ma inaczej. Dzieło to rozpoczęłam w Imię Boże i rośnie z dniem każdym, wspierane jedynie modlitwą i słowy silnej wiary Biskupa Madagaskaru Msgra Cazet'a. Bóg widzi wszystko, i może wszystko! O tak, Bóg może i widzi jak smutną jest niekiedy dola misyonarzy! dlatego natchnął Cię, Czcigodna Pani przedsięwzięciem tak wielkiego dzieła; a więc pozwól Pani, bym Ci przedstawiła potrzeby nasze.

Na prośbę o przyjęcie kilku Zakonnic naszej Kongregacyi, zaniesioną przez Wielebne Matki nasze do Msgra Cazet'a, Biskupa Madagaskaru, odebrałyśmy odpowiedź, że z przykrością musi nas uwiadomić, iż z powodu braku funduszu nie może obecnie podjąć się utrzymania nowej fundacyi, ale jeżeli czujemy się na siłach wystarczyć sobie same, przybyć możemy, gdyż pole działania jest wielkie a pracowników mało. Na tę odpowiedź Matki nasze przychylając się do prośby mojej, zezwoliły na urzeczywistnienie gorącego pragnienia mego i dnia 25 maja 1900 r. cztery Siostry Kongregacyi Opatrzności z dyecezyi Grenoble (Isère) udało się przez Marsylię w daleką podróż, a w dni 40 przybyłyśmy do Betafo, centrum wyspy położonej na płaszczyźnie Enirmu. Koszta podróży i ulokowanie się tu nasze wyniosły przeszło 6.000 fr. Mieścimy się w chatce Malgaszów o ścianach i podłodze z ziemi, pokrytej trawą — bez szyb i wszelakich sprzętów, gdyż drzewo jest tu bardzo drogie, lecz i tu nie możemy zostać długo, gdyż codzień coś innego się rozpada, pomimo to, miłe nam jest to iście Betleemskie ubóstwo. Jeżeli pragniemy ulepszenia, to jedynie ze względu na dzieci Malgaszów, których obecnie mamy 300 jedynie w Betafo, gdy mogłybyśmy mieć ich 500, gdyby je było gdzie pomieścić. Prócz tego mamy 50 uczennic w szkole normalnej i te młode kobiety jako nauczycielki rozejdą się kiedyś po kraju Malgaszów. Do ulokowania tych wszystkich dzieci mamy trzy klasy — istne strychy; proszę sobie wyobrazić dach ze słomy, ściany i podłogi z ziemi, a potem nic i nic, próżnia zu-

pełna; żadnej książki, ławki, stołu. Dzieci, które mogą się pomieścić, siedzą poskórczane na ziemi; dodać trzeba do tego duszące powietrze z powodu nieporządku, a będzie można mieć wyobrażenie, co tu zowiemy klasami. Nadto, inna ważna miejscowość (Antsiraba), zarządała usilnie przybycia Sióstr, nie mając jednak środków na koszta podróży, by takowe z Francyi powołać, musiałyśmy się rozdzielić; dwie z nas pojechały na nowy posterunek, gdzie ich już oczekuje 200 dzieci. One także, jak my, mają chatkę Malgaszów i nic więcej, tylko naokoło wielki ubóstwo! Lecz mylę się: bo otacza ich misya protestancka, która zbudowała przepyszne gmachy dla pociągnięcia Malgaszów i głoszenia im swej fałszywej nauki. Ich wielkie fundusze pozwalają im budować obszerne szkoły, gdzie przyjmują dzieci darmo, szpitale, schroniska dla trędowatych i wspaniałe zbory. Cóż my w położeniu naszem zrobić możemy? Jednak przybycie nasze dodało odwagi naszym katolikom. Przypatrują się oni temu wszystkiemu i mówią z pewną chlubą: „Wy nas nie prześcigniecie, bo mamy teraz misyonarzy i misyonarki, którzy nas kochają i głoszą prawdę!“ Obyśmy tylko podołać mogły naszemu zadaniu. Setki Sióstr przybyłoby z Francyi, lecz brak środków rozbija wszelkiego rodzaju poświęcenia i tamuje drogę jedyną wyrwania dusz ze strasznego zepsucia i grożącego wpływu protestantyzmu.

Miałabym jeszcze wiele do powiedzenia, lecz lękam się przedłużać więcej to moje pismo; mam bowiem nadzieję, że to co napisałam, znajdzie echo w sercu Pani hrabiny jako czcicielki św. Piotra Klawera, w imię którego zaczęłam i kończę tę pokorną prośbę moją. A polecając się pamięci przed Bogiem tak Czcigodnej Pani jakoteż całego Zgromadzenia, zostaję z głębokim szacunkiem i poważaniem.

Siostra Św. Jana Berchmans,
misyonarka z Kongregacyi Opatrzności.

Dla jednej duszy!

Przed laty trzydziestu znajdował się w Zakonie powszechnie znany nowicyusz, na którym wielkie i całkiem usprawiedliwione pokładano nadzieje. Młodzieniec ten był uposażony niezwykłymi darami ducha: posiadał przenikliwość umysłu, przekonywającą wymowę i porywający pisarski talent. Jakkolwiek pochlebnem wydać się może to świadectwo: niema w niem przesady. Po ludzku sądząc, musiała go czekać świetna przyszłość. Przełożeni obmyślili dlań zdolnościom tym odpowiadający zakres działania. Po wykonaniu ślubów i wyświęceniu na kapłana, miał on do pracy sobie przeznaczonej przystąpić. Tymczasem nie wiedząc nic o tych planach, zaniósł młody zakonnik do przełożonego prośbę, która zamiary tego ostatniego pokrzyżowała. Prośba była wyrazem gorącego życzenia

*

wyjazdu na misye oddalone. Przełożony nie chciał o tem słyszeć, uważając myśl tę za niewykonalną, nierozsądną, nie na czasie i t. p. Że jednak proszący z najgłębszą pokorą trwał w swem pragnieniu: pozwolenie na rok jeden zostało udzielone. „Doda mu to nowego hartu“ — rzekł sobie przełożony.

We trzy tygodnie później, młody kapłan wyruszał w podróż, nie dzisiejszym wygodnym parowcem, lecz okrętem żaglowym. Statek uległ rozbiciu, młody nasz przyjaciel jednak z garstką swych towarzyszy na małą dostał się wysepkę. Tu, podczas przymusowej wędrówki, ujrzał leżącą za krzakami starą, białej rasy kobietę, widocznie blizką skonu. Od razu zrozumiał ważność chwili; udzielił tej od wszystkich opuszczonej staruszce pociechy wiary świętej, nietylko pozostając przy niej do wydania ostatniego przez nią tchnienia, lecz jeszcze grzebiąc jej zwłoki. Wkrótce doświadczył na sobie, jak dalece złośliwa gorączka była powodem znalezienia się na wyspie biednej kobiety. Następnego dnia okręt francuski zabrał rozbitków; ale zaledwie wypłynęli na pełne morze, młody misyonarz został tąż samą zabójczą chorobą dotknięty, cierpiał jeszcze dni kilka, poczem umarł.

Wieść ta, gdy doszła do Rzymu, jak gromem przeraziła przełożonego i Zakon cały. Pierwszy — tak wypadek ten wziął do serca i do takiego stopnia cierpiał, wyrzucając sobie dane zezwolenie młodemu zakonnikowi, że ciężko zachorował. Podczas choroby miał on sen, w którym objawionem mu zostało, że ten tyle obiecujący, tak uzdolniony kapłan, przeznaczony był do spełnienia jednego zadania tylko, a mianowicie do zaopatrzenia tej starowiny na drogę wieczności, i gdy dzieła tego dokonał, Bóg go powołał do niebieskiej ojczyzny.

Świat byłby pewno zdania, że życie młodego kapłana bez pożytku zostało poświęcone; Bóg inaczej sądzi.

Podług „St. Josefs Foreign Missionary Advocate.“

Niedbalstwo murzynów w Congo.

Największą przeszkodą w nawracaniu dorosłych murzynów w Congo jest ich z niczem porównać się nie dające niedbalstwo. Czcigodny O. *De Clune* z Kongregacyi Ojców z Scheutfeldu, podaje charakterystyczne tego usposobienia rysy.

Murzyni z Majumby żywią się tem, czego im las dostarczy, czyli co zdobędą tam dla nich kobiety. Zaledwo słońce weszło, już wstają one i z koszem na plecach, umocowanym do czoła przytwierdzonym rzemieniem, udają się w stronę najwięcej zdobyczy im obiecującą, by tam w miarę potrzeby czerpać z zapasów nieprzebranych Boskiej Opatrzności, o której istnieniu nawet nie wiedzą. Praca ich nie jest lekką, usiłują ją wszakże nieco urozmaicić. Tu znajdzie się orzeszek do zgryzienia, tam do posłuchania ploteczka, innym razem upiecze się banany, w czasie

wielkiego upału trudno oprzeć się drzemce, i tak schyłku dnia się doczekało a z nim hasła do odwrotu. Każda pracownica bierze teraz zdobycz swą na ramiona, i o zupełnym już niemal zmroku przekracza progi domostwa swego. Sporządzenie uczty wiele czasu nie wymaga. Właśnie gotowe wszystko w chwili, gdy mężczyźni do domu wracają.

Po pracy zapewne?

Ani im się śniło! Cały dzień Boży zeszedł jednemu na niczem, drugiemu na zajęciu się nicością. Jeden przechadzał się bez celu, drugi omawiał jakąś sprawę, trzeci miał sprawę na ukończeniu; wszyscy włóczyli się ze strzelbą, która ich nigdy nie opuszcza i do niczego nie służy. Dzień minął... Właśnie oto tylko chodziło. Trzeba go było przepchnąć jakoś.



Piramidy w Gizeh.

Oto przyczyna, dla której, pomimo rozdawanych naczelnikom podarków w celu skłonienia ich do wezwania podwładnych na naukę, nikogo we wsi nie znajdujemy; a więc wyrzec się musiałem chodzenia tam nawet, gdyż wszystko się kończyło następującym dyalogiem:

— Oto jestem, naczelniku! Ludzi twoich nie widzę?

— Nie!

— Jednakże zawiadomiłem, że przybędę. Nie zwołałeś ich zatem?

— Och, przeciwnie!

— A więc?

— Mężczyźni wyszli bardzo wcześnie, bardzo wcześnie... zdaleka przychodzą i mają wiele spraw do załatwienia!

— Dobrze! A kobiety, dzieci?

— Ach! Jesteś taki dobry, mówisz nam takie piękne i dobre rzeczy, jakże chcesz, byśmy się kobiet pozbawili i umarli z głodu? Kobiety muszą pracować bardzo, bardzo, żebyśmy mieli co jeść dzisiaj! Co do dzieci... to ich niema! Przyjdź, proszę, innego dnia, a wszyscy będą.

— A, mój przyjacielu, oddawna śpiewasz mi tę samą piosnkę! Nic mi więcej nie pozostaje, jak wrócić do domu i zająć się waszemi dziećmi. Za was mogę tylko prosić Boga, żeby się ulitował.

Wskutek tego cała nasza praca koncentruje się na wychowaniu powierzonych nam dzieci Zadanie to chociaż wdzięczniejsze, niemniej trudne do uskutecznienia; trzeba bowiem najprzód zdobyć dzieci, a następnie je zatrzymać.

CHRZEST ZE KRWI.

PRZEZ

Wielebnego O. Duchêne ze Zgromadzenia Ojców Białych.

Jakim sposobem wiadomość o prześladowaniu obecnem Kongregacyj Zakonnych we Francyi, doszła do uszów naszych dzieci arabskich św. Karola? nie umiałbym powiedzieć, a przecież tak jest. Wczoraj wśród zamglonego morza Śródziemnego pojawił się statek parowy, wydając swe zwykłe jęki. W główkach naszych małych Afrykaneczek zabłysła myśl, że pewno wylądował kat, który przybywa, by ścinać głowy misyonarzom i zakonnicom; a pod wrażeniem tej żywej wyobraźni, widziały jak dobrzy Ojcowie ulatują do nieba z gałązkami palmowemi, a Siostry z wieńcami róż na głowach, a one biedne sieroty pozostaną tu na ziemi same, i bez Chrztu św. Co tu począć? zadawały sobie pytania, w chwili kiedy przechodziłem około plantacyi wina, gdzie one pracowały i gdy mnie spostrzegły, porzuciły wici, dozorczynię, i przybiegły na moje spotkanie. Skłoniwszy się, z niezwykłą pewnością siebie, rzekły:

— Ojcze! Ochrzcij nas. Ochrzcij natychmiast!

Zdziwiony ich żądaniem, w tem miejscu, a więcej jeszcze tonem błagalnym dzieci, pytam, dlaczego ten pośpiech?

— Bo wiemy, że źli ludzie przybyli tu z Francyi, by wam wszystkim pościnać głowy, jak to niegdyś uczynił Mahomet chrześcijanom, a potem, Ojcze, kto nas ochrzci?

Teraz zrozumiałem, o co rzecz idzie, chciałem myśl ich odwrócić i pocieszyć, mówiąc:

— Widzicie moje dzieci, że te wichry, które wieją z Francyi, przyniosą tu do Algieru tylko trochę deszczu.

Lecz mój mały światek przekonany o krwawych zamiarach ludzi z za morza, słuchał mnie z niedowierzaniem i żądał stanowczo Chrztu św. zaraz, by uprzedzić grożące im nieszczęście.

— Więc dobrze, moje dzieci. Otrzymacie Chrzest święty, ale was wyegzaminuję, bo wiecie, że się to należy przed przyjęciem tego Sakramentu?

— O, tak! — odpowiedziały wszystkie chórem i przybierając poważne minki wobec egzaminatora, młode kandydatki rzekły:

— Jesteśmy już gotowe, lecz Ojcze nie bądź bardzo surowy, bo jesteśmy jeszcze małe, ale potrzeba nam Chrztu świętego koniecznie.

Między tą gromadką dzieci znajdowała się Zeina, mała Jujurienne, co znaczy piękna; zasłużenie nosiła to imię, bo była bardzo rozwinięta, pełna życia i grzeczna. Od niej też zacząłem, mówiąc:

— Wiesz Zeino że Chrzest święty jest to Sakrament, który maże grzech pierworodny i czyni nas dziećmi Bożymi. Wiesz także jak nam jest potrzebny, skoro go tak usilnie żądasz. Znasz sposób, w jaki bywa udzielany ten akt w kaplicy schroniska, ale czy wiesz, jak może być zastąpionym, gdy go otrzymać nie można?

— Ojcze mój! — odpowiedziała bez namysłu. — Chrzest może być zastąpiony silną wolą otrzymania go, co nazywają Chrztem pragnienia, albo też Chrztem ze krwi.

Wymówiwszy te słowa, twarz dziewczęcia spoważniała i wpatrując się we mnie, wyczekiwała jeszcze nowego pytania.

— Dosyć Zeino, dobrze odpowiedziałaś, zasługujesz być dzieckiem Boga i Kościoła św., i stosownie do twego pragnienia, otrzymasz Chrzest święty. Lecz z powodu braku wody w miejscu, dalekich wodotrysków i możliwego nadejścia złych ludzi, udzielę ci (jeżeli zezwolisz) Chrztu ze krwi, za pomocą tej grubej laski w żelazo okutej.

Wyrzekłszy te straszne słowa, byłem zdumiony, nie widząc zmieszania na żadnej i pomyślałem sobie: prawdziwie dzieci te są obdarzone duchem męczeństwa. *In sexu fragili, corda virilia!*

Zeina po kilku sekundach namysłu i modlitwie, rzekła:

— Zezwalam, z całego serca! — a złożywszy swe rączki, zamknęła oczy, schyliła główkę i w skupieniu ducha, zdawała się mówić: „Uderz!“ (Taką samą musiała być Agnieszka przed katami Dyoklecyana).

Ja stoję nieruchomy, Zeina czeka i czeka. Nareszcie zdziwiona moją powolnością, uchyla powieki i spostrzega, że się uśmiecham. Uśmiech mój wobec tak świętej ceremonii, zadziwia pobożną katechumenkę i nasuwa jej wątpliwość o powadze moich intencyj. Podnosząc głowę, z pokornym żalem mówi.

— Ojcze, zdaje mi się, że sobie ze mnie żartujesz, bo się uśmiechasz, a nie udzielasz mi Chrztu.

— Powód mego uśmiechu, to radość z twej odwagi. Słuchaj Zeino, widzisz ową gromadę ludzi pracujących tam w polu? Rozważ, gdybym cię ochrzcił jako męcennicę, oni widząc, że cię zabiłem, przybiegliby, porwaliby mnie i ścieliby mi głowę, któżby wtedy douczył, wyegzaminował i ochrzcił towarzyszki twoje?

Słowa te przestraszyły wszystkie dziewczynki, a Zeina, chociaż bardzo zasmucona, zgodziła się powoli na odłożenie Chrztu, pragnąc szczerze tej samej łaski dla swych towarzyszek, a ja poleciwszy nadal te wybrane duszyczki miłosierdziu Bożemu, dodałem:

— Dzieci lube! Obyście wytrwały w waszem pragnieniu, ucząc się coraz pilniej katechizmu, a gdyby na nieszczęście nadeszli jeszcze ci źli ludzie, ochrzcimy was bez dalszego egzaminu!

— Wodą święconą, czy grubą laską? — zapytała zaciekawiona jedna z mniejszych.

— Wodą święconą, dzieci moje, i nie tu, lecz w kaplicy przystrojonej kwiatami i gorejącem światłem, otrzymacie Chrzest święty, ubrane w piękne białe sukienki, ofiarowane wam przez waszych chrzestnych rodziców!

— In cha Allah! Niech tak będzie, skoro się Bogu tak podoba — krzyknęła cała gromadka, wracając spokojnie do porzuconej pracy.

ODCINEK.

Ach, te termity!

Ażeby ci wśród łaskawych czytelników, którym termity nie są znane z doświadczenia, powzięli pojęcie o szerzonych przez nie spustoszeniach: opowiem pokrótce, co te owady wyrządzić mogą biednemu człowiekowi w ciągu 24 godzin. Dajmy na to, nie zdarzyło się to wszystko jednego i tegoż dnia, jednej i tej samej osobie, ale pojedyncze tego rodzaju fakta tak często miejsce miewają w rzeczywistości, że ten, kto w ciągu dłuższego pobytu w Rhodezyi i okolicy zapoznał się ze stworzeniami temi bliżej: nie oskarży mnie pewno o przeszkodę.

Przypuszczam więc, iż opuściłeś dopiero podróżny namiot, żeby objąć nowy dom własny w posiadanie. Z dumą przyglądasz się budynkowi, zadowolenie twe usprawiedliwiającemu: podłoga wyłożona cegłą, sufit tkaniną bawełnianą obciągnięty, ściany „dagą“ (mieszaniną piasku i gliny) wybielone. Prawdziwy pałac w porównaniu do dotychczasowego twego mieszkania! Ale... tak, wielkie twi w nim ale, o którem tymczasem najmniejszego niemasz pojęcia. Budowa tego rodzaju z cegły to istne termitów... Eldorado! i podczas, gdy ty szczęśliwie roisz, że dom ten jest przecie twą własnośćią, mieszkają w nim już inni właściciele. Mularz mógłby ci coś

powiedzieć o robotach, jakie jednocześnie z nim przedsięwzięli. Cieśla zastał ich u szczytu murów niecierpliwie oczekujących na to tylko, by dach został położony; nikt jednak ani słówka nie rzekł o tem, co tak często na własne widział oczy, nie chcąc przedwcześnie miłych snów ci rozwiewać. Cały więc dzień w najlepszym humorze zajmujesz się urządzeniem newej siedziby. Z uśmiechem zadowolenia rozglądasz się po miłem swem mieszkaniu. Teraz, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza możesz wyjść do miasta, którego stałeś się dziś obywatelem. Wyciągasz rękę po najlepsze swe ubranie tam na ścianie wiszące, ale, o zgrozo! połowę go tylko, może nieco więcej, trzymasz w ręku, reszta gdzieś się ulotniła. No, niezupełnie; kontury stroju twego dają się wyraźnie widzieć w klejowatej szlamistej masie na ścianie. Roi się tam od białych punkcików, które najwidoczniej atomy drugiej połowy twego ubrania unoszą!

W oniemieniu padasz na krzesło. Piękny początek! Ani słowa!... Ochota do przechadzki opuściła cię najzupełniej. Gdy pierwsze minęło wzburzenie, chcesz wziąć książkę dla odzyskania zupełnej równowagi. Z obawą spoglądasz na ścianę w stronę półki. Ale nie! ci przyjaciele samotności twej na obczyźnie, znajdują się w największym porządku. Tych przynajmniej złośliwi psotnicy tknąć nie śmieli! Uspokojony sięgasz po jeden z ustawionych szeregiem tomów, lecz grzbiet oprawy odpada i zostaje w twem ręku; książka stoi na półce wprawdzie, lecz jest w gliniastą zamieniona masę, od której kawałeczki papieru, jak płatki śniegu się oddzielają, i tu roją się punkciki niemiłosiernych burzycieli domowego twego porządku. Szybko bierzesz jedną książkę po drugiej, by ocalić, co jeszcze do ocalenia pozostało; niewiele jedaak uratować się daje; pomoc przyszła za późno!

Z uczuciem gorzkiego rozczarowania i zniechęcenia udajesz się na spoczynek, lecz i we śnie jeszcze trwa walka z termitami, roją się plany ich zagłady. O brzasku budzisz się z tej niespokojnej drzemki i patrzysz na podłogę koło łóżka. Uwagę twą zwraca kulisty przedmiot, którego wczoraj wieczorem tam nie było. Na wierzchu kulisty znajduje się otwór niezmiernie do otworu buta twego podobny. Dlaczegożeś był tak nieuważny, żeś zostawił na podłodze swe obuwie! Obecnie zamieniło się ono w kupę mrówek.

Żeby gniew wywołany tem nowem niepowodzeniem odrazu stłumić, wychodzisz z domu i, świeżem rannem powietrzem owiany, napawasz się widokiem wspanłałych cyprysów (Cypressos maczocarpa). Tu przynajmniej trud nie poszedł na marne. Jakże piękne one i smukłe! jak dumnie w górę się wznoszą! Lecz stój! A to co? Tam jeden pochylił się i martwe zwiesił gałęzie! Zbliżasz się, chcesz opatrzyć chore drzewo; zaledwie dotknąłeś, pada na ziemię. Straszne termity korzenie przegryzły. Tak, a dalej spostrzegasz wyłom w zielonej ścianie; to pozbawiony kory pień młodego drzewka i z liści ogołocone gałęzie... Ach, te termity!

Nagle rozlega się krzyk od strony domu, wyrywając cię z tych posępnych myśli i zmuszając do obejrzenia się poza siebie. We drzwiach stoi twój służący, krajowiec ze zmienionym wyrazem twarzy i kijem od szczotki do zamiatania w ręku. Chciał właśnie pokój twój przyprowadzić

do porządku (co znaczy do nieładu), poszedł po nową szczotkę, lecz kij z niej tylko pozostał. Nie potrzebuje to już wyjaśnień; domyślasz się przyczyny.

Co się wyżej powiedziało, wystarcza dla dania pojęcia, jak straszną plagą kraju tego są termity; wyjątkowo tragiczny wypadek zasługuje jednak jesze na wzmiankę.

Nauczony doświadczeniem poręczyciel mój, zamknął swe kosztowności, papiery i t. p. w mocnej, cynkiem wyłożonej drewnianej szkatułce, którą następnie na podstawie z cegły na środku pokoju umieścił. Po kilku dniach otwiera szkatułkę: pusta! wszystkie jego skarby znikły. Termity to przegryzły cegłę i drzewo, znalazły maleńki w blasze cynkowej otwór, przez który miliardy ich do wnętrza się dostały, zniszczyły wszystko, co nie było zanitowane, zostawiając dziurkowatą gliniastą masę, jako jedyny ślad cennej zawartości.

(Podług notatek misyonarza z Zambezi O. Leboeuf S. J.
w „Zambezi - Mission - Record“).

Wykaz datków znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 20. grudnia 1901.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Jan Kluczycki.

W Krakowie. Czcionkami drukarni »Czasu.«